ROK 5 NR 5 (17)
JESIEŃ 2012

Numer bezpłatny

NA STRONIE

gazeta twórczych bibliotekarzy i przyjaciół

Zdjęcia z poetyckiego spotkania w Pubie Biblioteka - z archiwum Constans.

***

Tereni Ferenc i Zbyszkowi Jankowskiemu

Dwoje ludzi
Obdarowanych
Miłością i Poezją.
Życie już prawie za nimi.
Jeśli się przeciwko temu buntują,
To z łagodnym uśmiechem zrozumienia,
Który jest pamięcią długiego, wspólnego losu.

Jest w nich ciepło i delikatność kruchych kwiatów
I mądrość ludzi, którzy trzymając się za ręce
Przeszli przez piekło, czyściec,
Ale nigdy nie przestali marzyć o niebie.

On lał oliwę na jej wzburzone morza,
był dla niej falochronem, kołem ratunkowym,
bronił ją, czuwał, tulił.

Ona była dla niego uciekającym wciąż horyzontem,
Latarnią morską wskazującą kierunek
I rozświetlającą jego ciemności.

Dziś są jak dwa skrzydła
Zmęczonego anioła,
Który przysiadł na chwilę
W drodze do domu.

Włodzimierz Galicki,
zwycięzca XII Turnieju Jednego Wiersza
„O wieczne pióro twórcy"

Jury Turnieju.
Od prawej: Maria Duszka, Ewa Jabłońska,
Agnieszka Jarzębowska

Dariusz Staniszewski „Keks" (red. naczelny; darstanisz@wp.pl) • Skład: Nemo • Wydawca: ZBIRanina 2008 • WiMBP im. J. Piłsudskiego w Łodzi

Marek Czuku

„Gdy ulatują szare wróble godzin”

czyli poeta zapomniany – Jerzy Waleńczyk

Jerzy Waleńczyk (1927-1994) – poeta całe życie związany z Łodzią (tu się urodził, tu pracował i zmarł) – debiutował w roku 1949 na łamach tygodnika „Wieś” (nr 5), a następnie publikował m.in. w „Kuźnicy”. Jego debiut książkowy przypadł na rok 1957. Był to zbiór wierszy *Wino półsłodkie*. W latach 1950-54 nie drukował prawie wcale[1]. To ważne daty w historii polskiej literatury, obowiązywała wtedy bowiem doktryna realizmu socjalistycznego, która zahamowała na kilka lat jej rozwój. Metrykalnie poeta przynależy do pokolenia (lub pseudopokolenia) ironicznie przezwanego „pryszczatymi”, najbardziej aktywnego właśnie w „socrealistycznych” czasach, debiutował zaś książką, gdy na scenę literacką wkraczało bliskie mu ideowo pokolenie „Współczesności”, przewartościowujące dotychczasowe doktrynalne kanony oraz wzorce i zrywające z nimi (znamienne, że debiutujący wówczas Zbigniew Herbert, ur. 1924, oraz Miron Białoszewski, ur. 1922, również nie należeli do tej generacji).

Należy pamiętać o klimacie lat popaździernikowej odwilży, gdy rozliczano się z postaw w epoce stalinizmu, a do głosu zaczęli dochodzić młodzi. Był to czas kawiarnianych dyskusji z egzystencjalistyczną i awangardową modą w tle, czas jazzu i rock’n’rolla, czas względnej swobody obyczajowej. W literaturze i sztuce zaś odrzucono raz na zawsze schematyzm, dogmatyzm i tani optymizm na rzecz prywatności oraz indywidualizmu. Artyści zatem odzyskiwali powoli część nie tak dawno utraconej niezależności.

W poezji okresu powojennego na dobre zagościł styl Różewiczowski, wyróżniający się „przede wszystkim rezygnacją z kunsztu wersyfikacyjnego i ozdobnych środków stylistycznych”[2], manifestujący „opozycyjność wobec tradycji, zwłaszcza wobec nadmiernego metaforyzowania wypowiedzi poetyckiej. Zgodnie z tym założeniem poeta sprowadza język wierszy do najprostszej leksyki, najczęściej rzeczownikowej. Budulcem wierszy stają się zwykłe, codzienne słowa, które wpływają na prozaizację stylu”[3]. Poeta unika patosu i wzniosłości, a ukazuje nieraz bardzo brutalne sceny[4]. W konsekwencji pojawił się w polskiej literaturze turpizm (poezja Stanisława Grochowiaka) oraz kontestacja rzeczywistości (proza Marka Nowakowskiego i Marka Hłaski). Twórcy chcieli w ten sposób pokazać drugą stronę rzeczywistości, ukrytą za pierwszomajową fasadą, wychodząc z założenia, że prawdziwsza od „stosownych” tematów literackich jest brzydota[5] („Wolę brzydotę/ Jest bliżej krwiobiegu” – pisał Grochowiak w wierszu *Czyści*[6]).

Debiutant w oczach krytyków

Debiutanckie *Wino półsłodkie* krytyka przyjęła raczej przychylnie, choć zdarzały się głosy niechętne tego typu twórczości czy w ogóle – debiutantom z „pokolenia 56” (jak np. recenzje Marka Ruszczyca[7] czy Stanisława Stanucha[8],

1 Por. *Młodzi poeci łódzcy. Jerzy Waleńczyk*, „Dziennik Łódzki”, 1957, nr 286, s. 5. [oraz] *Słownik współczesnych pisarzy polskich*, ser. 2, oprac. zesp. pod red. J. Czachowskiej, t. 3, Warszawa 1980, s. 11.
2 *Wikipedia*, http://pl.wikipedia.org/wiki/Styl_Różewiczowski.
3 Tamże.
4 Por. tamże.
5 Por. M. Głowiński, T. Kostkiewiczowa, A. Okopień-Sławińska, J. Sławiński, *Podręczny słownik terminów literackich*, wyd. 12 zmienione, red. J. Sławiński, Warszawa 1999, s. 325 [hasło: turpizm].
6 Stanisław Grochowiak, *Poezje*, wyd. 2, wyb. i wstęp J. Maciejewski, Warszawa 1988, s. 59.
7 M. Ruszczyc, *Martwe i ograne struny*, „Współczesność”, 1958, nr 4, s. 7.
8 S. Stanuch, *Prośba o koziołki*, „Zebra”, 1958, nr 2, s. 17.

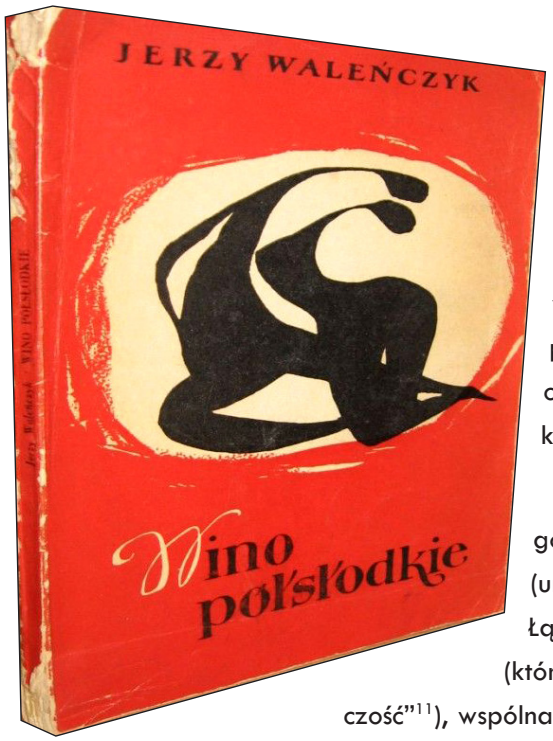

niezawierające przekonujących uzasadnień negatywnych, woluntarystycznych ocen). Wnikliwi recenzenci podkreślali związki poezji Waleńczyka z klasyczną „dykcją anglosaską" (Eliot, Auden). Łódzki krytyk, Henryk Pustkowski, postawił po latach nawet taką tezę: „Wiersze Waleńczyka były najciekawszą i najdojrzalszą chyba próbą przyswojenia liryce polskiej Eliotowej poezji. Próba ta była etapem koniecznym dla wytworzenia się tendencji neoklasycznej. I te zasługi Waleńczyka zostały przemilczane"[9]. Włodzimierz Krysiński z kolei wspominał: „Jerzy Waleńczyk był nim [Eliotem – dop. M. C.] zafascynowany. Jako poetą, teoretykiem, dramaturgiem, myślicielem, mistykiem"[10].

Równocześnie z Waleńczykiem debiutował nieco młodszy od niego, mieszkający wówczas również w Łodzi, Jarosław Marek Rymkiewicz (ur. 1935), który wydał tomik pod znamiennym tytułem *Konwencje* (1957). Łączyła tych dwóch poetów fascynacja nie tylko Eliotem, ale i Miłoszem (którego artykuł *Wprowadzenie w Amerykanów* opublikowała właśnie „Twórczość"[11]), wspólna była im też postawa klasycystyczna. Nic więc dziwnego, że ich debiuty niektórzy krytycy omówili łącznie.

I tak Ryszard Matuszewski docenił u obu poetów to, że „potrafili oni uczynić ze swych wierszy ciekawy dokument nie tylko osobistych nastrojów, wrażliwości czy poszukiwań, ale w pewnym sensie dokument społeczny: umieli dać jakieś (...) uogólnienie, pokazać jakąś twarz współczesnego młodego pokolenia. A udało im się to w dużej mierze dlatego, że postanowili posłużyć się konwencjami... (...) Najczęściej występującą wśród nich określiłbym jako mieszaninę jakiegoś opisowego realizmu z klasycyzującą retoryką i – niekiedy – koturnową nieco symboliką postromantyczną..."[12].

Jerzy Kwiatkowski natomiast, wyżej oceniając dokonania Rymkiewicza, pisał: „Obydwaj debiutanci są (...) bardzo retoryczni i merytoryczni. Epokowi i pokoleniowi"[13]. Krytyk zarzucił im brak oryginalności („obydwaj poeci tym nie mogą się pocieszyć, że idą własnymi ścieżkami"[14]). Wyraził przy tym jednak nieco optymizmu: „Myślę, że z czasem obydwaj debiutanci zostaną pasowani na poetów naprawdę oryginalnych. (...) Tymczasem jednak są giermkami. Czyimi? Kto zna polską poezję, wie już od dawna"[15]. Pisząc o autorze *Wina półsłodkiego*, skrytykował jego „gadulstwo i skłonność do katechez", a także to, że „jest on jeszcze różewiczoidą i myśleć się nie chce, co by to było, gdyby inny wzór nie przyszedł mu z pomocą i nie ocalił przed prozaicznym wodosłowiem i szlachetnymi, lecz histerycznymi sentymentalizmami"[16]. Ostre to słowa i chyba nie całkiem sprawiedliwe.

Łaskawszy dla Waleńczyka był Matuszewski, choć i on wytknął u niego potknięcia i łatwizny „w naiwnych nieco pokoleniowych reportażykach (...), sporo patosu i niejasnej grandelokwencji, retorycznej teatralności..."[17]. Krytyk zauważył „jednak fakt, że Waleńczyk jest poetą wrażliwym na wielką problematykę historyczną, umiejącym wydobyć zarówno klimat niespokojnej chwili dziejowej, jak nakreślić obyczajową sytuację pokolenia, oddać koloryt środowiska (...), ukazać

9 H. Pustkowski, *Trzy tezy o poezji Jerzego Waleńczyka*, [w:] *Rzecz poetycka. Środowisko*, wyb. i oprac. A. Biskupski, J. Jarmołowski, M. Kucner, Łódź 1975, s. 183-184. [oraz] Tegoż, *Peregrynacje Jerzego Waleńczyka*, [w:] tenże, *Przestrzenie poezji. Szkice krytycznoliterackie*, Łódź 1986, s. 144.
10 W. Krysiński, *Jerzy Waleńczyk. Opisanie wspomnień*, „Tygiel Kultury", 2001, nr 1-3, s. 27.
11 Por. tamże.
12 R. Matuszewski, *Dwaj młodzi poeci łódzcy*, „Nowa Kultura", 1958, nr 26, s. 2.
13 J. Kwiatkowski, *Dwaj giermkowie*, „Przegląd Kulturalny", 1958, nr 35, s. 5.
14 Tamże.
15 Tamże.
16 Tamże.
17 R. Matuszewski, dz. cyt.

współczesny pejzaż rodzinnego miasta (...), zarysować jątrzące konflikty życia osobistego czy rodzinnego... Umie odnaleźć do tych spraw klucz uczuciowy, kontrapunkt ironii, dystansu i emocjonalnego zaangażowania. W jego sceptycyzmie i goryczy jest – niezależnie od występującej niekiedy młodzieńczej pozy – jakaś prawdziwa, bolesna nuta"[18]. Apelując do poety „o dążenie do większej samodzielności w przetwarzaniu konwencji", dostrzegł jednocześnie „fakt, że jest to konwencja, w której realny świat zostaje zauważony, (...), w której wyobraźnia służy formułowaniu myśli"[19].

Barbara Biernacka uznała debiut Waleńczyka za ciekawy, przynoszący „przede wszystkim duży ładunek intelektualny"[20]. Podkreśliła u poety również „umiejętność spojrzenia analitycznego na rzeczy" oraz zasugerowania różnych stanów emocjonalnych, a także wprowadzenie do swoich wierszy elementu bardzo osobistego, „bezpośrednich zwierzeń, autoanalizy i ujawniania jakby własnych kompleksów"[21]. Autorka recenzji zwróciła uwagę na uniwersalność przesłania tej poezji oraz na jej trudności formalne („Wolny wiersz, zbudowany z prozaizmów, na których tle uwypuklają się tym bardziej rzadkie metafory"[22]), związane z Różewiczowską metodą budowy.

Kolejny krytyk, Włodzimierz Krysiński, określił główne tendencje tej poezji jako „terror codzienności", a za cechę „wyróżniającą Waleńczyka w stosunku do innych młodych poetów polskich" uznał „jego związki ze współczesną poezją anglo-amerykańską", która to „tendencja pozwala mu (...) na zachowanie własnej twarzy (...) – polskiej"[23]. Dalej krytyk zauważył, że „Waleńczyk jest poetą bez złudzeń", rozczarowanym do świata; poetą, który drwi i ironizuje; poetą osamotnionym i wyobcowanym[24]. Jego poezja jest – zdaniem Krysińskiego – pesymistyczna, „czasem nieśmiało buntująca się, czasem drwiąca", ale i żartująca oraz filozofująca. W słabszych wierszach, które również znalazły się w tomie, widać natomiast „dalekie podźwięki Czechowicza skrzyżowanego z Przybosiem"[25]. Według Krysińskiego, mimo że „*Wino półsłodkie* jest tomem nierównym", Waleńczyk to twórca „o znacznym poczuciu warsztatu i konwencji poetyckich – o dużej skali możliwości. Obok wierszy wolnych prezentuje wiersz stroficzny, obok refleksji wyrażonej w smutnej tonacji znajduje się miejsce i dla tonacji persyflażowej"[26]. „Waleńczyk jest poetą piszącym swoją biografię"[27]. To „debiut poety (...) niebojącego się stanąć z własnymi obsesjami i bólem przed Czytelnikiem"[28].

Według Piotra Kuncewicza centralną problematyką wierszy Waleńczyka jest „portret młodego pokolenia, kolejna 'spowiedź dziecięcia wieku'"[29]. „Waleńczyk (...) pokazuje siebie i swoje środowisko z całą właściwą mu problematyką, gdzie najpocześniejsze miejsce zajmują sprawy sypialni"[30]. „Bohater jest (...) z reguły zmęczony i zawiedziony. (...) Podobnie kształtuje się los całego środowiska, żyjącego jakimś pozornym życiem, skąd mit »straconego pokolenia« i stylizacje: cyniczna, łobuzerska, kombinatorska"[31].

Dokończenie w następnym numerze.

Szkic Marka Czuku ukazał się wcześniej we Frazie, nr 1(71)/2011.

Zdjęcie 1: źródło: http://zeszytypoetyckie.pl/krytyka/614-gdy-ulatuj-szare-wroble-godzin-czyli-poeta-zapomniany-jerzy-waleczyk-
Zdjęcie 2: źródło: http://www.antykwariat-bazar.pl/katalog/polska/48/w

18 Tamże.
19 Tamże.
20 [B. Biernacka] B. B., *„Wino półsłodkie"*, „Nowe Książki", 1958, nr 7, s. 409.
21 Tamże.
22 Tamże.
23 W. Krysiński, *O „Winie półsłodkim" Jerzego Waleńczyka*, „Odgłosy", 1958, nr 17, s. 7.
24 Tamże.
25 Tamże.
26 Tamże.
27 Tamże.
28 Tamże.
29 P. Kuncewicz, *Ty, którego nie*, „Współczesność", 1959, nr 11, s. 4. [oraz] Tegoż, *Czy niewidzialne koło? (O poezji Jerzego Waleńczyka)*, [w:] tenże, *Cień ręki. Szkice o poezji*, Łódź 1977, s. 192.
30 Tamże.
31 Tamże.

Lilla Latus

25-lecie Klubu Literackiego „Topola" ze Zduńskiej Woli

5 października w Miejskim Domu Kultury w Zduńskiej Woli odbyła się „urodzinowa" uroczystość 25-lecia Klubu Literackiego Topola. Z tej okazji Prezydent Miasta Piotr Niedźwiecki wręczył topolanom honorową odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej" od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bogdana Zdrojewskiego. Poeci opowiedzieli o historii Klubu, spotkaniach oraz zaprezentowali gościom fragmenty swojej twórczości. Wystąpili: Anna Andrych, Walentyna Anna Kubik, Roma Alvarado-Łagunionok, Izabela Kowalczyk, Lilla Latus, Roman Tomaszewski i Tadeusz Zawadowski. Opiekunką topolan w MDK jest Joanna Sychniak-Paterek. Uroczystość uświetnił występ w wykonaniu Klubu Piosenki Artystycznej, który w MDK prowadzą Andrzej Wawrzyniak (gitara) i Przemysław Rybak (fortepian). Wystąpiły: Monika Syryczyńska, Martyna Rychlik, Katarzyna Rajewska i Magda Wasylik. Był również okolicznościowy tort, gratulacje i wyrazy uznania od lokalnych władz oraz od przedstawicieli zaprzyjaźnionych środowisk twórczych. W MDK można też było obejrzeć wystawę ilustrującą dorobek twórczy oraz historię fenomenu, jakim jest ta nieformalna grupa poetycka zajmująca znaczące miejsce na mapie literackiej naszego kraju. Topolanie mają na koncie wiele nagród, wyróżnień, publikacji, uczestniczą aktywnie w życiu literackim zarówno w Polsce, jak i za granicą, udowadniając, że „poeci nie zjawiają się przypadkiem".

Maria Duszka

TUTAJ SIĘ WRACA

…powiedział mi Marek Monikowski, poeta i fraszkopisarz z Janowa k. Częstochowy. To prawda. Nie wiadomo, na czym polega magia tych miejsc, ale Złoty Potok i Janów koło Częstochowy przyciągają poetów od lat. Każdy, kto tutaj przyjedzie choć raz, chce bywać częściej. Tak więc organizowane są na przemian - w jednym roku Jurajska Jesień Poezji,
w następnym Biennale Poetyckie. Każda z tych imprez ma trochę inny program i charakter. Wspólne jest to, że wciąż spotykają się na nich poeci z różnych stron kraju. Przyjeżdżają tutaj zarówno ci z dużym dorobkiem, jak i początkujący. Pojawiają się też bardowie z nieodłącznymi gitarami: Jarek Kąkol z Żywca, Robert Marcinkowski z Krakowa, Janusz Ochocki z Żarek, Zbyszek Paprocki z Sieradza. No i zawsze jest miejscowa bardka Ula Ostrowska. Wszyscy współtworzą tę cudowną, niepowtarzalną aurę.

W dniach 20-21 października 2012 r. Samorządowy Ośrodek Kultury i Sportu w Janowie zorganizował IV Biennale Poezji. W „Galerii po schodkach" mieszczącej się w budynku Urzędu Gminy (wójt Sławomir Krzyształowski przyznał mi się, że także jest poetą) odbył się Turniej Jednego Wiersza. Grand Prix otrzymała Jolanta Stelmasiak z Grzybowa k. Szadku, a wyróżnienia: Renata Batko z Krakowa, Ireneusz Korpyś ze Złotego Potoku i niżej podpisana. Wieczór poświęcony był także wspomnieniom o zmarłym na początku tego roku zakopiańskim przewodniku i bardzie, stałym bywalcu jurajskich imprez, Jurku Tawłowiczu. A potem była trwająca do świtu impreza integracyjna w Stajni „Wiking". W niedzielny poranek, pod przewodnictwem zajmującego się promocją gminy Janów Ireneusza Bartkowiaka (ubranego, w jasny garnitur, kapelusz i muszkę!), wybrali się poeci na kilkugodzinną, dość wyczerpującą pieszą wycieczkę. Niektóre poetki, nieuprzedzone, jaka będzie trasa wędrówki, pokonywały ją dzielnie w spódnicach, rajstopach i na wysokich obcasach.

I jestem pewna, że myślały sobie: „Może nas Ireneusz czołgać i przeciągać przez jaskinie, źródełka, stawy, wapienne góry i doliny. I tak będziemy wracać do Złotego Potoku!"

JOLANTA STELMASIAK

Fotografia – my

skrywana gdzieś w szufladzie, wyblakła jak
sen o tym, czego nie ma i tych, którzy w nim byli

słońce już zachodziło, więc stąd blade
cienie na twarzach wszystkich dorosłych

tak dawno umarłych – nas dzieci też już nie ma
porwał nas wir, wieczny bieg, ciągłe doganianie

czasem ktoś zatrzyma się, tak jak ten – na pętli
skaże ogród, jabłoń na zło przeznaczenia

za lat kilka miejsce to stanie się przeklęte

dom, który za nami tłem jest fotografii
chociaż tak kochany, złym miejscem się stanie

powiemy – żyły wodne, złe promieniowanie

lecz to tylko my, to my tu byliśmy
bez nas samych nic, nic nam się nie stanie

i jedna fotografia nie może nas ocalić

MARIA DUSZKA

***

trwamy
w nowoczesnych związkach
wolnych i otwartych
- w nieustannej tęsknocie
i z czasem tylko słabnącą nadzieją
że kiedyś jeszcze
zdarzy nam się
staroświecki związek
cudownie zamknięty

Magdalena Cybulska

Poezja szuka towarzysza

1.

Jak wielu łódzkich poetów, często bywam na różnych spotkaniach autorskich. Najczęściej w drzwiach wejściowych mijam te same znajome mi twarze. Choć może nie powinnam zaczynać tak pesymistycznie. Bo przecież wszyscy mamy nadzieję, że na imprezy literackie organizowane w bibliotekach, czy domach kultury, przychodzą nie tylko osoby parające się piórem. Przecież - oprócz samych poetów i studentów polonistyki - ktoś musi jeszcze czytać poezję.

Zatem, co się działo ciekawego w poetyckiej Łodzi przed wakacjami? Najpierw może podzielę się z Państwem wrażeniami ze spotkania z Agnieszką Battelli. Odbyło się ono w czerwcu w Okręgowej Izbie Lekarskiej. Bohaterka zaprosiła do czynnego udziału w nim swoich przyjaciół-artystów. Ich lista była imponująca, na scenie pojawili się: Marcelina Gładysiak. Mirosława Marcheluk, Ula Paczyńska, Julia Różycka, Piotr Adamus, Tomasz Bieszczad, Jarek Paczyński. Mogliśmy usłyszeć nie tylko recytacje wierszy Agnieszki Battellii, ale także przekonać się, jak brzmią one jako piosenki, gdy słowom poetki towarzyszy muzyka. Zatem spotkanie to miało bardzo dynamiczny charakter, bo najczęściej na wieczorach autorskich to sam autor czyta swoje teksty. Całość prowadził dziennikarz muzyczny Janusz Janyst, który jest znany ze swojego talentu do improwizacji. Zresztą sam to podkreśla i nie można nie przyznać mu racji. Jako konferansjer znakomicie porusza się w tematyce muzycznej, literackiej, a także filozoficznej. Agnieszka Battelli mówi o sobie: wielozawodowiec, gdyż zdążyła już być fagocistką, śpiewaczką operową, animatorem kultury, pedagogiem... Obecnie pracuje jako arteterapeuta w szpitalu. Podczas spotkania wykonała m.in. dwie kompozycje Fryderyka Chopina z własnym, nowym tekstem. Podczas tego wieczoru mogliśmy usłyszeć wiele piosenek znanych uczestnikom spotkań w Barze Mlecznym, czy ze Spotkań Dżemowych. Po raz kolejny popłynęły znajome nuty i słowa: „Małych miasteczek", „Melancholii", „Chwili", „Snu", wierszy zawartych w najnowszym tomiku poetki. A jest on wzbogacony dodatkowo o prace namalowane przez Alicję Naruszewicz-Petrenko oraz Lalkę Dudek. Zresztą spotkanie autorskie w Izbie Lekarskiej połączone było z wystawą obrazów tych artystek.

Pod koniec spotkania wystąpił kabaret „Pętla Ósemki", w którym występują Agnieszka Battelli i jej przyjaciele.

Warto też wspomnieć o Marii Kondek, która w tym roku obchodzi 90 urodziny. Z tej okazji była ona bohaterką kilku spotkań literackich zorganizowanych m. in. w Ośrodku Kultury na Siedleckiej, gdzie swoje miejsce ma grupa literacka Centauro, w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, w Klubie Literackim Nauczyciela. Wielu młodych artystów mogłoby pozazdrościć jej energii i pasji twórczej. Działalność artystyczna Marii Kondek obejmowała: malarstwo, rysunek, grafikę, projektowanie zabawek, scenografii dla teatrów lalek oraz poezję. Artystka wciąż pisze i maluje. Jej ulubionym tematem, zarówno w malarstwie, jak i w poezji, są drzewa. Bowiem jest ona znakomita obserwatorką ich przemian na przestrzeni następujących po sobie pór roku. Zacytuję fragment jej wiersza: „W zielonej korze drzew/ obrazy twarze/ikony nadrzewne". Bardzo to poetyckie, a zarazem malarskie. Dalej poetka pisze: „Wystarczy tylko/pędzel/piórko/czy pastele". Wystarczy czasem samo słowo, aby na białej kartce papieru namalować obraz. Zatem życzę Pani Marii Kondek kolejnych lat twórczości artystycznej. I na pewno do tych życzeń dołączają się inni łódzcy poeci.

Wspomnę też krótko o spotkaniu poetycko-malarskim, które odbyło się w maju, w Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego. Krótko, bo czytelnicy jeszcze mnie oskarżą o uprawianie prywaty. Autorka niniejszego tekstu prowadziła to spotkanie, a redaktor „Na Stronie" promował swój tomik wierszy „bajka. jest obok". Był to wieczór autorski dwóch poetów: Zdzisława Muchowicza, który przedstawił swoje wiersze niskopodłogowe i Dariusza Staniszewskiego, który przeczytał szarówki i wybijanki. Całość odbyła się przy akompaniamencie gitarowym Miłosza Muchowicza. Zdzisław Muchowicz otworzył także wystawę swoich miniatur. Wiersz przecież też może być taką miniaturą, ukazującą jakiś wycinek świata. Poeta również maluje, używa różnych barw, rozmaitych odcieni danego koloru, różnej grubości kreski. Podczas tego spotkania udało się połączyć poezję z malarstwem, muzyką oraz aktorstwem.

Przed wakacjami odbyło się też bardzo ciekawe spotkanie w Akancie. Tutaj sezon artystyczny zamknęła poetka Jolanta Miśkiewicz. Jej wieczór autorski nosił tytuł: „Orlica, czy kura domowa". Autorka zaprezentowała swoje utwory, najczęściej były to wiersze o miłości, a także fragment najnowszej powieści dla młodzieży. Publiczność wspólnie orzekła, że najbardziej do artystki pasuje określenie „Orlica domowa", w związku z czym naprędce zmieniono tytuł wieczoru. Mogliśmy także wysłuchać jednej piosenki, do której tekst napisała Jolanta Miśkiewicz. Piosenkę zaśpiewali: poetka Anna Barbara Kaźmierczak i znany w mieście Łodzi wiking, czyli Janusz Andrzej Berner, który skomponował do niej również muzykę. Może doczekamy się dalszej współpracy tych artystów.

Podsumowując, poezja dziś szuka sobie artystycznego towarzysza. Najczęściej staje się nim malarstwo lub muzyka. Słowo próbuje współistnieć w szerszej przestrzeni artystycznej. Może niektórzy poeci boją się, że wiersz nie obroni się sam. Żyjemy przecież w kulturze obrazkowej. Ale z drugiej strony dzięki malarstwu, muzyce, poezja może dotrzeć do szerszego kręgu odbiorców. Wierszy więc nie będą już czytali sami poeci i studenci polonistyki. Tak optymistycznie może zakończę.

2.

Powspominajmy dziś trochę te ciepłe, lipcowo-sierpniowe chwile. Co robią poeci w okresie letnim, gdy trwa tak zwany „sezon ogórkowy" w kulturze? Biblioteki, ośrodki kultury odpoczywają od spotkań literackich, publiczności i od samych piszących. Ale poeci nie próżnują. Szukają inspiracji. Poeci, leżąc na zielonej trawie, wcale nie myślą o niebieskich migdałach. Bo przecież nawet obłok może zostać bohaterem utworu poetyckiego. Kwiaty, drzewa, góry, doliny często pojawiają się w wierszach. A jakim wdzięcznym tematem pisarskim są zwierzęta. Można je podglądać godzinami. Z takiej obserwacji istot małych i dużych: kotów, psów, żab, koników polnych powstał niejeden wiersz. Poeci szukają natchnienia w ogrodzie, na plaży, w lesie lub nad brzegiem morza. Wakacje niosą ze sobą zapowiedź przygody. A literatura jest przygodą, zarówno dla piszącego, jak i dla czytającego. Poeci w okresie letnim zawsze znajdą w krajobrazie coś, co ich zainspiruje albo zaciekawi. Może to być maleńki listek, czy nawet czerwona kula słoneczna nad widnokręgiem. Świat wokół ma wtedy wiele barw, zapachów i smaków.

Czyli poeci w okresie wakacji przenoszą się na zieloną trawę. Porzucają to, co miejskie i szare. Stolik Poetycki z „Cafe pod Atlasami" przeniósł się na działkę do łódzkiego wikinga-Janusza Bernera. Tutaj odbywały się spotkania towarzysko-literackie. Między wierszami można było przegryźć kiełbaskę lub kaszankę z grilla, wypić łyk piwa za poprzedni sezon artystyczny lub zjeść jabłka smażone w cieście naleśnikowym. Zatem było coś dla duszy i coś dla ciała. Problemy dnia codziennego nagle znikały. Nikt nie narzekał na brak weny twórczej, czy trudności z wydaniem nowego tomiku. Wokół panował optymistyczny nastrój. Poeci odpoczywali w cieniu jabłonek. Liczyli także na to, że żadne jabłko im na głowę nie spadnie. A jeśli już spadło, to i tak im chęci do poezjowania nie wybiło z głowy. Pokłosiem tych spotkań są wiersze (a właściwie można powiedzieć cały ich tomik) o tematyce działkowo-przyrodniczej, podkreślające uroki życia na wsi. Mieszkańcy Justynowa mieli możliwość poznać osobiście łódzkich poetów, którzy spacerowali wokół stawu, karmili kaczki, wąchali miętę i zrywali różową koniczynę. Na pewno nie dało się ich nie zauważyć.

Jedna z poetek zachwyciła się kwitnącymi nenufarami i zapragnęła mieć choć jeden biały kwiatek. Jej marzenie się spełniło. Chociaż nie odbyło się to jak w filmie „Noce i dnie". No cóż, nie wymagajmy aż tak wiele.

A zresztą, jakby ta poetka dostała bukiet nenufarów (tak jak w filmie Barbara Niechcic), to co by właściwie z nim zrobiła? Taki prezent byłby olbrzymim problemem. A jeden nenufar egoistycznie zajął cała miskę z wodą na działce u wikinga. Wszyscy nim się zachwycali. Do dziś jednak nie wiadomo, czy był on szczęśliwy, że został muzą poetki z Łodzi. Poetki zresztą tak mają, że najczęściej ich muzami zostają mężczyźni.

3.

Jesień za oknem, czyli sezon artystyczny 2012/2013 trzeba uznać za otwarty. Po igrzyskach w telewizji poeci wrócili do swoich codziennych obowiązków, czyli pisania, uczęszczania na wieczorki poetyckie swoich kolegów po piórze oraz organizowania własnych spotkań autorskich. Mój kalendarz w okresie letnim „świecił pustkami", dziś znowu zapełnił się terminami spotkań literackich. Czasem w jednym tygodniu odbywa się kilka tego rodzaju imprez i długo zastanawiam się, którą z nich powinnam wybrać. I jak tu jeszcze znaleźć czas na pisanie wierszy. Doba mająca dwadzieścia cztery godziny jest za krótka dla poety. Przydałoby się dodatkowych kilka godzin lub chociaż minut.

W sobotę, 8 września, odbyło się doroczne spotkanie, którego główni bohaterowie skupieni są wokół grupy poetyckiej Constans. **„Poetycki Konstantynów w Pubie Biblioteka"**, przygotowany w ramach projektu „Łódzkie czyta" i „IX Jarmarku Wojewódzkiego", z polotem prowadzony był przez wielką przyjaciółkę poetów, dyrektor MBP w Konstantynowie, Ewę Jabłońską. W tym roku w Pubie Biblioteka można było zapoznać się z twórczością poetów z wielu grup literackich. Oprócz Constansu spotkałam osoby należące do Centauro, Animy, Motyla, Stolika Poetyckiego z Cafe pod Atlasami oraz Związku Literatów Polskich. Czyli można powiedzieć: „śmietanka literacka" Łodzi i Okolic. Słowo „okolice" napisałam z dużej litery, aby podkreślić, że poza dużym miastem też dzieje się coś ciekawego w kulturze i literaturze. Początkowo poeci wymieniali uściski i dzielili się wrażeniami z wakacji, potem rozbrzmiały dźwięki gitary Zbigniewa Paprockiego. Gość z sieradzkiej Animy zaśpiewał kilka piosenek do tekstów Krzysztofa Sołtysiaka i było to piękne uhonorowanie twórczości zmarłego niedawno twórcy. Wszyscy obecni literaci zasłuchali się i rozmarzyli, może udawali tylko, że są w Pubie Biblioteka, a odpłynęli gdzieś daleko, daleko... Jak to poeci. Może niektórzy układali sobie w głowie nowy wiersz.

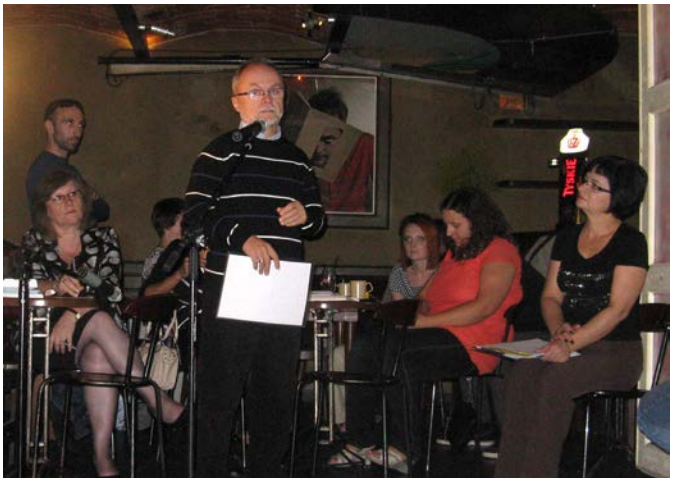
Włodzimierz Galicki

Głównym punktem programu było rozstrzygnięcie PODRÓŻY POETYCKIEJ - ogólnopolskiego konkursu, organizowanego przez konstantynowski miesięcznik „Ex Libris 43bis".W tym roku Wielki Bilet zdobyła długowłosa poetka z Częstochowy, Alina

Barczyk. Jak przeczytałam w miesięczniku kulturalnym „Ex Libris 43bis", poetka studiowała na Uniwersytecie Łódzkim historię sztuki. Czyli musi znać nasze miasto „od podszewki". Należy pogratulować Bernardowi Cichoszowi, który od lat organizuje ten konkurs i wciąż ma w sobie tyle optymizmu i wiary w poetów. A poeci z Polski, jak i z zagranicy nadal przysyłają swoje teksty do oceny. Dzięki temu konkursowi można także zaprezentować swoją twórczość na łamach konstantynowskiego miesięcznika. Mam nadzieję, że kolejne podróże ujawnią nowe talenty literackie.

Grupa Constans

Turniej Jednego Wiersza „O wieczne pióro twórcy" zawsze przyciągał poetów w różnym wieku i z różnym dorobkiem oraz stażem literackim. Regulamin konkursu jest prosty. Każdy uczestnik czyta przed publicznością jeden wiersz, a potem oddaje tekst jury. Tematyka utworów nie jest ograniczona. Można zaprezentować wiersz miłosny, smutny, wesoły, refleksyjny, frywolny, krótszy, dłuższy. Niektórym udaje się zabłysnąć przed publicznością i jury swoim talentem aktorskim. Każdy poeta w swojej szufladzie wyszpera zapewne odpowiedni tekst na ten konkurs. Zaś każdy słuchający odnajdzie wśród prezentowanych utworów coś dla siebie - wiersz, który będzie odpowiadał jego wrażliwości. W tej edycji turnieju zwycięzcami okazali się: Włodzimierz Galicki (uhonorowany przez jury) i Jan Rudy (faworyt publiczności).

Warto też podkreślić, że literaci z grupy Constans wydali wspólną antologię poetycką i w Pubie Biblioteka prezentowali utwory w niej zawarte. W tomiku tym można odnaleźć różne głosy i style poetyckie. Zapewne konstantynowscy poeci w obecnym sezonie artystycznym jeszcze wiele razy będą promować swój tomik. Przecież własnym dorobkiem twórczym trzeba się chwalić.

Małgorzata Skwarek Gałęska i Zbigniew Paprocki

Spotkanie w Pubie Biblioteka było pełne wrażeń, może nawet przypominało zmagania sportowców podczas igrzysk.

Zatem poeci już wystartowali!

A igrzyska się skończyły.

PS. W sobotę 8 września, tuż obok zmagań poetyckich, odbywał się mniej liryczny, ale bardzo kolorowy Jarmark Wojewódzki. Za to bardzo lirycznie i nastrojowo było w pasażu Schillera, gdzie czytano „Pana Tadeusza".

Zbigniew Paprocki

WARTO UCZYĆ SIĘ JĘZYKÓW
(tekst piosenki)

Kto ma chęci do nauki,
temu sukces przyjdzie prędzej.
A więc warto się potrudzić,
żeby wiedzieć coraz więcej.

Po szczebelkach do sukcesu
zaczynając od przedszkola.
Wiedza przecież to potęga!
A świat czeka - w podróż woła.

Warto uczyć się języków
i zdobywać większą wiedzę.
Porozmawiać z kimś w Paryżu,
albo gdzieś w Berlinie z Niemcem.

Weekend spędzić pod Big - Benem
i objechać metrem Londyn.
Zaprzyjaźnić się z Litwinem,
tam, gdzie Wojski sygnał trąbił.

Lub na przykład w Disneylandzie
porozumieć się z Francuzem.
A więc uczmy się języków -
bo to nie jest wcale trudne!

Po szczebelkach do sukcesu,
zaczynając od przedszkola.
Wiedza przecież to potęga!
A świat czeka - w podróż woła...

Dariusz Staniszewski

KRÓTKA HISTORIA O HUTNIKU, JEGO BUTACH I PSIE

Stary hutnik z Nowej Huty
bardzo utył. Chce być chudy.
Biega boso. Swoje buty
wrzucił hutnik do psiej budy.

Pies zaszczekał: „Hau, hau! Buty!
Nie wyrzucę ich z mej budy!”
Kość obgryza w lewym bucie,
w prawym śpi pies w swojej budzie...

WYŻEŁ METEOPATA

Pewien wyżeł z łyżew żył i z sanek
Sklepik otwierał w każdy poranek
No chyba, że w pogodzie były wielkie niże
Jak żył wtedy wyżeł, piszę ja poniżej:
Pies spał
I spał
I spał
Całe dnie
A łyżwy sprzedawał tylko we śnie!

Przemysław Król

Przystanek kolejowy Sieradz Męka znajduje się w północno-wschodniej części miasta w dzielnicy Męka. Aby dojechać na stację, jadąc od strony Rososzycy drogą wojewódzką numer 479, należy tuż za wiaduktem kolejowym skręcić w lewo w ulicę Karola Józefiaka. Parking pod stacją jest spory, aczkolwiek szutrowy. Aby dostać się na perony z parkingu, należy wejść schodami do góry. W bliskim sąsiedztwie peronów stał kiedyś budynek stacyjny - pozostały po nim jedynie kafelki. Stacja ta dzieli dawną wieś Męka na dwie części. W północnej części znajduje się stary kościół i - prawdopodobnie - centrum dawnej wsi, w pobliżu DW479 jest też cmentarz, stronę południową zajmuje przede wszystkim część mieszkalna. Na często uczęszczanej linii kolejowej zatrzymuje się sporo pociągów, aczkolwiek nie wiem, czy tędy nie przejeżdża bez zatrzymywania się jeszcze większa liczba składów pospiesznych i towarowych. Taki mały przystanek kolejowy to w zasadzie raj dla fanów kolei, można spokojnie zapolować na przejeżdżające tędy pociągi.

Sieradz Męka

Perony 1 i 2 (w kierunku Sieradza). Stacja dzieli dzielnicę Sieradza Męka na dwie części: północną z kościołem i centralną częścią dawnej wsi oraz część południową, z której można dojechać samochodem do centrum miasta.

Zdjęcia z 10.11.2011 roku.

To zdjęcie przedstawia parking przed stacją, postój dla samochodów nie jest zbyt duży, ale jak widać w zupełności wystarcza, by pomieściło się tam kilka aut.

Pozostałości po budynku stacyjnym, który dawno został rozebrany. Jak widać pozostały po nim tylko kafelki i duża przestrzeń na peronie.

Tablica z nazwą stacji na peronie południowym, w tyle zabudowania mieszkalne; jak widać tabliczka wymaga wymiany, gdyż widać wyraźne ślady korozji.

Widok w stronę Sieradza oraz znaczniki W4. W terminologii kolejowej tablice W4 oznaczają miejsce zatrzymania się lokomotywy.

Kościół w północnej części dzielnicy Męka oraz fragment peronu z tabliczką. Niestety, zarządca PLK nie dba należycie o tę linię kolejową, co widać po tabliczce...

...jak i po pozostałościach ławek, jakie są na tym przystanku

Igor Banaszczyk

Dlaczego analogowo?

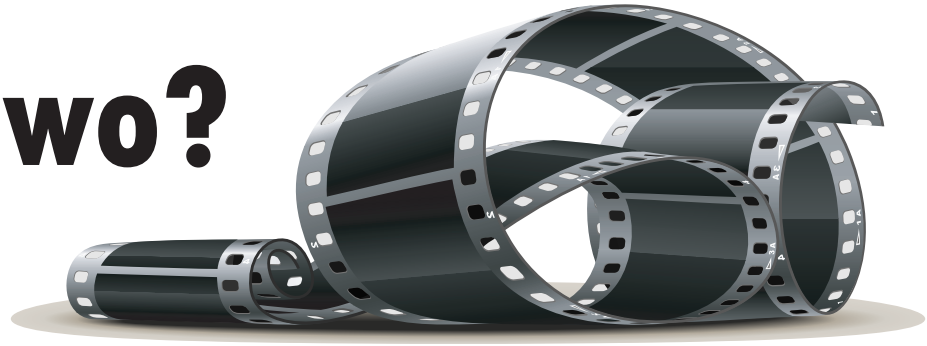

Sezon wakacyjny dobiegł końca. Znów zasiadamy przed komputerami i zaczynamy segregować setki/tysiące zdjęć. Być może niektórzy z nas wybiorą i wywołają te bardziej udane fotografie, większość jednak pozostanie przy ich postaci cyfrowej. Do części z nich nigdy nawet nie zajrzymy. Czasem zadaję sobie pytanie, czy fotografia po wynalezieniu aparatu cyfrowego nie straciła swojej pierwotnej magii. Przy każdym obleganym przez turystów obiekcie słyszymy nieustanny spust migawki - dziesiątki, setki, miliony prawie identycznych ujęć...

A może by tak wrócić do aparatów analogowych? Pytanie tylko z pozoru wydaje się głupie. Przede wszystkim statystyki podają, że w USA sprzedaż aparatów klasycznych jest wyższa od sprzedaży ich cyfrowych odpowiedników. Dzieje się tak głównie za przyczyną ruchu LOMO (czyli „pstrykania" zdjęć bez patrzenia w wizjer), ale to temat na inny artykuł.

Jednym z podstawowych argumentów osób odrzucających tradycyjną fotografię, jest rzekomy brak dostępu do filmów czy sprzętu. Jest to oczywiście nieprawda – nadal na rynku istnieje i ma się dobrze kilkadziesiąt rodzajów „klisz"[1]. Wybór jest więc duży i nic nie wskazuje na to, żeby miało się to zmienić. Nawet upadek fotograficznych gigantów wcale nie musi oznaczać braku dostępów do ich materiałów. Tak było choćby w przypadku Agfy, dziś filmy tej firmy możemy kupić pod nazwą nowego właściciela „Rollei".

Osobna sprawa to koszt użytkowania aparatu analogowego. O ile sam sprzęt na rynku wtórnym nie jest specjalnie drogi (poczciwego Zenita z bardzo dobrym obiektywem Helios 44 można nabyć za mniej niż 100 zł), o tyle jego użytkowanie może nadszarpnąć domowy budżet. Jeśli jednak aparatu będziemy używać jedynie podczas wakacyjnych wypadów – to nie ma się o co martwić. Film fotograficzny tzw. małego formatu (popularne trzydzieści sześć klatek) to koszt kilkunastu złotych. Jego wywołanie i zeskanowanie to drugie tyle (choć np. sieć sklepów Rossman skanuje filmy za darmo, przy zamówieniu wywołania materiału). Nieco droższe mogą być odbitki wykonywane bezpośrednio z filmu, ale kto powiedział że musimy przenosić na papier każde zdjęcie?

Co jednak daje nam fotografia analogowa? Przede wszystkim znacznie szersze spectrum barw niż w przypadku cyfry. Tu potrzebne będzie niewielka znajomość techniki. Otóż emulsja światłoczuła, jaka znajduje się na filmie, reaguje bezpośrednio na światło, które pada na nią z obiektywu. W przeciwieństwie do niej, matryca „cyfrówki" rozpoznaje, dzięki specjalnym filtrom, tylko trzy kolory (czerwony, niebieski i zielony). To dopiero z nich oprogramowanie aparatu generuje całą gamę pozostałych barw. Niestety, mimo pozornej ilości kolorów przez takie rozwiązanie techniczne i pomimo sporej rozdzielczości, nowoczesne aparaty w kwestii barw pozostają znacznie w tyle. Dodatkowo „analogi" pozwalają nam wyskoczyć ze wspomnianego wcześniej maratonu setek bezsensownych ujęć. Jeżeli mamy możliwość wykonania podczas wyjazdu jedynie kilkudziesięciu (a nie kilku tysięcy) fotek, każde ujęcie musimy dobrze przemyśleć i zaplanować. Proszę mi wierzyć, że efekty są warte tego zachodu!

Kolejnym argumentem przeciwko starym aparatom jest rzekoma trudność ich obsługi. W pewnym sensie jest to prawda – lustrzanka analogowa raczej nie ustawi za nas światła ani ostrości. Jednak z drugiej strony, takie umiejętności możemy opanować dość szybko, a nagrodą za to będą jeszcze lepsze zdjęcia.

Można by w takim razie zapytać: skoro aparaty analogowe są takie wspaniałe, dlaczego ich cyfrowi bracia odebrali im sporą część rynku? Odpowiedź na to pytanie jest prosta i brutalna. W dzisiejszym świecie liczy się szybkość i niezawodność. O ile to drugie określenie ma zastosowanie zarówno do aparatów tradycyjnych, jak i nowoczesnych, to szybkość robienia zdjęć i dostępu do nich sprawiła, że większość fotografów utrzymujących się ze swojej pracy, przestawiła się na sprzęt cyfrowy. Ale nam przecież nigdzie się nie śpieszy, prawda?

Mam cichą nadzieję, że ten krótki tekst być może skłoni kogoś do odgrzebania ze strychu starego Zenita czy Praktici i założy do niego film. Naprawdę warto.

PS. Na koniec chciałbym jeszcze sprostować jedną, wydaje mi się, dość niejasną kwestię. Aparat analogowy aparatowi analogowemu nierówny. Myślę, że jeśli chcemy mieć konkurencję dla cyfrówek, nie warto reaktywować automatycznych „małpek", jakich wysyp pojawił się w latach 90. Warto sięgnąć po lustrzanki, bądź aparaty dalmierzowe. Wtedy efekty będą zauważalne i zadowalające.

1 Termin klisza jest jednak pojęciem błędnym – w rzeczywistości oznacza używane głównie przed wojną szklane płytki, które pokrywano emulsją światłoczułą. Prawidłowe określenie to film lub błona fotograficzna.

Zdjęcia autorstwa Igora Banaszczyka

niezbędnik bibliotekarza

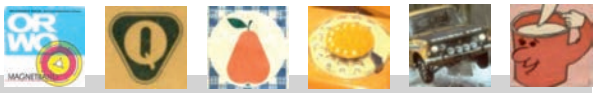

zspu.republika.pl

Otwierając cykl artykułów przygotowanych specjalnie dla gazety "Na Stronie", redakcja Klubu Starych Dobrych Czasów wyraża nadzieję, że zamieszczone tu wskazówki będą dla czytelników równie cennym źródłem inspiracji jak znany z dawnych lat program telewizyjny „Zrób to sam" - Adama Słodowego, któremu pragniemy jednocześnie oddać należny hołd.

Jak doskonale wiemy, podstawowym atrybutem warsztatu pracy bibliotekarza jest cisza. Uprzejmy apel „ZACHOWAĆ CISZĘ" to, chyba obok „ODDAWAĆ KSIĄŻKI W TERMINIE" i „NIE MIESZAĆ KARTECZEK W SZUFLADACH KATALOGOWYCH", najbardziej znane motto naszej zawodowej społeczności. Wobec nadchodzącej jesieni, okresu powrotu studentów z wakacji, wytężonej pracy naukowej w czytelniach... w pierwszej kolejności zajmiemy się nagłośnieniem.

foto 1.
zestaw SSL 432 oraz kolumna ZG40C

1. Łączenie urządzeń

(na przykładzie połączenia karty dźwiękowej komputera ze wzmacniaczem UNITRA serie digitale WS 432)

Zamiast podłączać do komputera głośniczki w plastikowej obudowie, które brzmieniem przypominają koreańskie magnetofony kasetowe z lat `90 (por. również dźwięki wydobywające się z telefonów komórkowych, należących do młodych ludzi poruszających się komunikacją miejską) można poszukać w piwnicy lub na strychu wyniesionej tam dwadzieścia lat temu i dawno zapomnianej wieży UNITRY oraz kolumn (foto 1). Przy odrobinie szczęścia można bez trudu uzyskać w ten sposób źródło dobrej jakości dźwięku.

Do wykonania przewodów potrzebne będą:
- kabel koncentryczny stereo
- odpowiednie wtyki
- lutownica oraz spoiwo lutownicze

Do łączenia urządzeń audio wykorzystuje się kabel koncentryczny zakończony wtykami. Gotowe przewody można nabyć w sklepach RTV, dużo jednak ekonomiczniej (oraz zgodnie z nauką Adama Słodowego) jest wykonać przewody samodzielnie.

Montaż przewodu jest bardzo prosty. Obrane z plastikowej izolacji końcówki kabla koncentrycznego lutujemy do odpowiednich zacisków wtyczek;
- linka czerwona – kanał prawy
- linka biała – kanał lewy
- miedziany oplot – masa.

Popularne typy wtyków oraz rozmieszczenie zacisków – na rysunku:

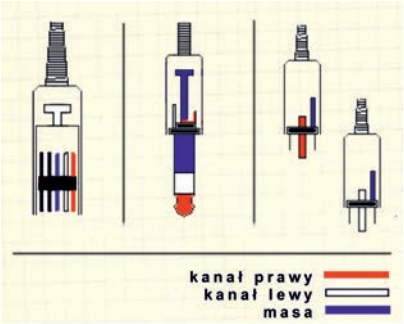

rys. poglądowy 1.

Minijack stosowany jest w komputerach, odtwarzaczach mp3, głównie jako gniazdo słuchawkowe; WM 454 w magnetofonach kasetowych i szpulowych oraz innych urządzeniach UNITRY jako gniazdo wejścia i wyjścia; chinch we wzmacniaczach, wieżach, telewizorach, magnetowidach jako gniazdo wejścia i wyjścia.

Do połączenia kompa ze wzmacniaczem UNITRA serie digitale WS 432 potrzebny jest przewód stereo zakończony wtykami minijack oraz WM 454. Wtyk jack podłączamy do gniazda wyjścia w karcie dźwiękowej komputera (tam, gdzie dotąd podłączony był zestaw głośniczków komputerowych), wtyk WM 454 do wejścia tuner wzmacniacza. Plastikowe głośniczki doskonale zmieszczą się na strychu (lub w piwnicy), gdzie dużo miejsca zabierała dotąd wieża UNITRY z kolumnami. Można je też z pożytkiem wykorzystać jako popielniczkę o industrialnym charakterze lub przycisk do papieru.

2. konserwacja potencjometrów

(na przykładzie wzmacniacza UNITRY serie digitale WS 432 oraz equalizera serie digitale FS 432)

Osobne miejsce należy poświęcić potencjometrom (regulatorom głośności, tonu), które ulegają z czasem zabrudzeniu i mogą powodować trzaski oraz zniekształcenie dźwięku w trakcie regulacji. W niewielkich tanich radiomagnetofonach zakłócenia spowodowane są najczęściej zużyciem, a nie zabrudzeniem potencjometrów. W sprzęcie lepszej klasy uszkodzenie to łatwo usunąć we własnym zakresie, potrzebny jest tylko preparat w sprayu dostępny w sklepach RTV.

UWAGA! rozprowadzanie preparatu na pokrętle regulacyjnym (foto 3) nie zapewnia poprawy jakości dźwięku.

W przypadku potencjometru suwakowego (foto 2) wystarczy rozprowadzić preparat od strony obudowy, zgodnie z kierunkiem strzałki. Potencjometr obrotowy (foto 3) wymaga zdjęcia obudowy urządzenia i zaaplikowania preparatu wewnątrz mechanizmu potencjometru (foto 4).

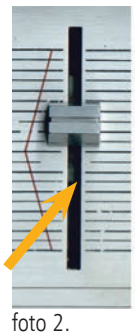

foto 2.

foto 3.

foto 4.

Powodzenia! W następnym numerze kontynuować będziemy temat urządzeń niezbędnych bibliotekarzom!

(Klub Starych Dobrych Czasów)

HISTORYJKI DUSZKI 3

Kilka lat temu miałam spotkanie w Stacji Nowa Gdynia. Wojtek Kądziela przyniósł mi zamiast kwiatka pomarańczę. Ale ja niedługo przedtem dowiedziałam się, że jestem uczulona na cytrusy. Dlatego powiedziałam mu, że nie mogę przyjąć tego owocu. On zaproponował, abym tę pomarańczę dała komuś innemu. Na co ja: "Ale wiesz, ja chyba nawet nie mogę dotykać cytrusów." On zrezygnowany: "Trudno, sam wpier..."
Tak przy okazji - Wojtek powiedział mi kiedyś, że on nie chce przy mnie używać wulgaryzmów, bo wydaje mu się, że ja w życiu takich słów nie słyszałam.:))) Na co ja mu odpowiadam, że wręcz przeciwnie.

Maria Duszka

Dziwożonie Na Stronie czyli Mirochłady z szuflady odc. II

PORTRETY PRZYJACIÓŁ (1)

Jolanta Miśkiewicz

Do Henryka

Brodolity mężczyźniku
merdolisz w słowopiśmiku
o starozyźni i kroczowisku
nie ocząc paniek przyblisko.

O Hani

Ściętowłosa mądrogłowa,
nauczkuje dziwosłowa.
Spokojnisto, taktoliście
oświetlika uparciście.

Do Agi

Lekcyjnoście nieodrobiste,
śpiewogłos ci bliskobłyście,
kabaretornia ukochliwa
drwiokpi ze społeczliwa.

O Ani L.

Smutnotliwa, cudnopisna
dziewczoludka srebromglista.
Zacichuśko uśmiechliwie -
miśkolubna wielochciwie.

Jego Bajmość Darencjusz

Jego Bajmość Darencjusz
siedziulka na stronotronie
a pańtki zachwytliwie
weń wpatrzolone.

Proszą jego Bajmość
o zanowe bajencje,
on humoruje i chimerzy -
nasz Bajkostyl Darencjusz.

Małgorzata Skwarek-Gałęska

LIMERYK O PADANIU

Ten pan, co na imię miał Adam,
mówił: do nóżek padam.
Aż padł na dobre
i mieli „kobrę”,
lecz kryminałom radam.

LIMERYK O BANDZIE

Pewien mężczyzna w Samarkandzie
lubił czasami pojechać po bandzie.
Raz banda po nim pojechała,
wcale zresztą niemała.
Sprawa jest na wokandzie.

Dariusz Staniszewski

CHIMERYKI POPRAWNIE NIEPOPRAWNE

Czy warto brać przykład z szympansa,
Który to i owo wciąż przekansza?
Oj, bo będę kąsać!
Nakazuję PRZEKĄSZAĆ!
Szympans wziął się w garść... i już przekąsza!

Chciał być taki francuski, rzucił: „Komą ka wa?”
Kelner wyszczerzył zęby: „Już, już kawę podawam!”
Przypadek ów mnie rani.
Ostrożniej z językami!!!
Bo rozleje się ze śmiechu wam ta kawa!

HODOWCA SMOKÓW odc. 2

Magdalena Cybulska

Za życia był krasnoludem i prywatnym detektywem, mieszkał w Kamienistej Dolinie, która swą nazwę zawdzięczała kocim łbom na ulicach. Inne miasteczka i miasta w Krainie Złotego Buka miały już asfaltowe drogi i chodniki, a tutaj nadal panowało średniowiecze i mieszkańcy moczyli buty w rynsztokach. W mieście stały trzy wieże, dwie karczmy, kilkanaście kapliczek mniejszych lub większych bóstw i coś, co miało przypominać ratusz. Jednak od wielu lat był on w remoncie, gdyż stanowił zabytek po elfach, który należało przywrócić do dawnej świetności. Nasz bohater wątpił, aby kiedykolwiek mieszkały tu elfy, nie wierzył w miejscowe baśnie i podania. Sądził jednak, że na „ratuszu po elfach", można zrobić niezły biznes. Wyobrażał już sobie tłumy turystów odwiedzających małe, zapomniane miasteczko, a przy okazji trzy wieże, dwie karczmy i mnóstwo kiczowatych kapliczek. Uważał, że wszystko ma swoją przyczynę i dąży do jakiegoś celu. Każdą rzecz można racjonalnie wytłumaczyć, nawet istnienie potworów żywiących się od czasu do czasu ludźmi. Trzeba powiedzieć, że stąpał mocno po ziemi. Niewiele takich tutaj było. Połowa mieszkańców Kamienistej Doliny zajmowała się magią zawodowo, a druga połowa próbowała się nią zajmować, choć nie zawsze coś pożytecznego z tego wychodziło. Do magii też trzeba mieć predyspozycje. Tak jak do muzyki. Jeśli nie masz dobrego słuchu muzycznego, to piosenki ani opery nie skomponujesz. Możesz ewentualnie pogwizdać sobie przy goleniu.

Krasnolud-detektyw, niech mi czytelnik wybaczy, ale zapomniałam wspomnieć jego imienia -Tussilago, był znany w całej Krainie Złotego Buka. Jego usługi nie wymagają zatem reklamy. Mówiono o nim, że lubi ciemne ulice, zaułki, korytarze, grobowce. Może po prostu Tussilago zamienił kopalnie krasnoludów na równie niebezpieczne miejsca, ale znajdujące się na powierzchni. Jego zespół stanowiła asystentka - telepatka Filipendula, która umiała rozmawiać z umarłymi różnych ras oraz gatunków i alchemik Poligonus. Zdolności Filipenduli bardzo się przydawały, gdy trzeba było rozwiązać zagadkę związaną z morderstwem. Asystentka potrafiła odnaleźć duszę zmarłego gdziekolwiek ona się znajdowała, w którymkolwiek kręgu nieba, czy piekła. Alchemik całe dnie spędzał w laboratorium, wśród probówek, szalek, pipet, wag i innych dziwów, nieznanych śmiertelnikom. Nie lubił podróżować. Jednak krasnoludowi zawsze udawało się jakoś wyciągnąć Poligonusa z laboratorium na krótszą lub dłuższą wyprawę. Kiedyś zajmował się on ziołolecznictwem, ale potem postanowił poświęcić się kryminalistyce. Nigdy nie miał cierpliwości do jęczących pacjentów. Tussilago sądził, że alchemik po prostu przeczytał za dużo książek kryminalnych.

Na miejscu przestępstwa ta trójka zawsze razem zbierała wszelkie dowody zbrodni. Wszystko było tu ważne, każdy odcisk palca człowieka, orka, elfa, czy jakiegoś mniejszego boga. Ci ostatni też popełniają czyny karalne. Tylko nigdy nie udaje się ich pociągnąć do odpowiedzialności. Kto miałby ich zresztą sądzić?

To miała być krótka i prosta sprawa. Na Wyspie Stu Potoków został zamordowany bogaty hodowca smoków. Oczywiście następnego dnia oskarżono rodzinę o popełnienie tego niegodziwego czynu. Przecież wszyscy wiedzieli, że właściciel olbrzymiego stada smoków ma syna, z którym pokłócił się kilka lat temu i który zniknął bez wieści, a potem pojawił się nagle dwa tygodnie przed tragiczną śmiercią ojca. Córka zaś była zakochana w miejscowym czarodzieju nieudaczniku, który klepał biedę i chyba przez przypadek obronił dyplom na Uniwersytecie Wszechpotężnej Magii i Sztuk Rozmaitych. Jedynie ona była wrażliwa na jego czary. Kamień pod wpływem zaklęcia przenoszącego w inne miejsce i czas nawet się nie poruszył. Patrzył na czarodzieja szeroko otwartymi oczami. Może nigdy nie widział wcześniej takiego beztalencia.

Tu należy także przedstawić żonę hodowcy smoków. Była to kobieta temperamentna i żywiołowa, która spędzała czas, pokrzykując na męża i wytykając mu jego lenistwo, choć narrator wie, że nie miała racji, ponieważ smoczy interes szedł znakomicie. Nigdy nie brakowało rozmaitych monet z różnych regionów Krainy Złotego Buka w domowych budżecie. Może ten tajemniczy zabójca powinien jej ukręcić kark, a zostawić w świętym spokoju męża. Bogowie, świećcie nad jego duszą! Hodowca, jak wiemy, był człowiekiem majętnym, zatem ten fakt mógł się przyczynić do jego zguby. Tussilago sądził, że są rzeczy ważniejsze od pieniędzy, chociaż teraz trudno było mu je wymienić.

Wszyscy domagali się jak najszybszego wyjaśnienia sprawy: Cech Czarodziejów, Cech Hodowców Smoków, Cech Płatnych Zabójców, który nie chciał, aby ktokolwiek go łączył z tak źle wykonanym morderstwem. Przecież przez taką fuszerkę mogą stracić swoich najlepszych klientów.

Gdy Tussilago przybył na wyspę, zastał zimnego już od kilkunastu godzin hodowcę, wdeptanego w błoto przez olbrzymią łapę smoka...

(c.d.n.)